

DZIWNE PRZECZUCIE.

Byli to dwa zupełnie odrębne typy. Highens, znakomity psycholog i autor wielu dzieł, był przytem spirytystą przekonany i wierzącym, nie znającym sceptycyzmu na punkcie duchów i telepatyi. A Obrycki, Polak w służbie angielskiej, młody, zdolny i wiele obiecujący inżynier, jest najzacieklejszym pozytywistą. Kierunek studiów i wychowanie zarówno, jak gorzkie własne doświadczenie nauczyło go wierzyć tylko w to, co może być matematycznie dowiedzione.

On i Highens stanowili zupełnie niezwykle i ciekawe przeciwstawienie, gdy się zetknęli ze sobą. Highens marzyciel, wierzący we wiele rzeczy dlatego tylko, że wewnętrzne uczucie mówi mu, iż to jest prawda; Obrycki zaś istny niewierny Tomasz, który palcem niemal musi dotknąć wszystkiego, aby uwierzyć. I pomimo to ci dwaj jakoś szczególnie przypadli sobie do gustu. Coś tajemniczego pociągnęło ich odrazu ku sobie w tym wiejskim domu.

I pewnego wieczora, kiedy wicher huczał na dworze, a wszyscy udali się na spoczynek, Highens i Obrycki w zacisznym pokoju przy kominku zeszli jakoś mimowoli na historje o spirytyzmie, telepatyi i duchach.

Highens, ku tem większej swej uciechy, dowiedział się, że jego rozmówca kilka lat z rzędu pracował razem ze znakomitym wynalazcą telegrafu bez drutu i że następnie Obrycki wiele podróżował, instalując ten wynalazek prawie że na całym świecie.

— Wie pan — mówił Obrycki — nie bardzo ja tam byłem skłonny do spirytyzmu, jednakże w czasie mego pobytu w Ameryce Południowej zdarzyła mi się przygoda, która mi wiele dała do myślenia. Była to nader dziwna historia.. — ciągnął Obrycki w zamyśleniu.

— Niech pan zaczyna! — zachęcił go Highens.

— Musi pan sobie wyobrazić pokój, jakiego pan przez całe życie nie widział i dom zupełnie nie podobny do zwykłego... W domu tym był wszystkiego jeden pokój, a pokój miał tylko jedną ścianę, z ubitej ziemi. Pozostałe ściany stanowiła rozciągnięta gęsta siatka, broniąca dostępu moskitom. Wobec tego, siedząc w tym pokoju na środku i oglądając się wokoło, miał pan przed oczami z jednej strony ścianę ziemną, z drugiej las dziewiczy, z trzeciej także las, a z czwartej trudną do ogarnięcia okiem powierzchnię wodną, za którą wynurzała się w niezmierzonoj dali niekończąca się linia lasów.

W domu tym i na zewnątrz niego panowało duszne, wyczerpujące gorąco, powietrze jakby przelewające się od żaru i cisza niezmienna, męcząca, przygnębiająca, okropna, zmuszająca najsilniejszych ludzi do opuszczania głowy na ręce i płaczu z niewyrażalnej tęsknoty, melancholii i poczucia swej zupełnej tu samotności... Pan nie pamięta, którą to okolicę w Afryce nazywają „mogiłą białych ludzi”? W takim razie to miejsce, wybrzeża Amazonki w jej dolnym biegu śmiało mogą być nazwane „piekłem białych”. I otóż tu tutaj, pośrodku dziewiczego lasu, chociaż jak można precyzować środek tego, co niema ni początku, ni końca? żyliśmy my, kwiat cywilizacji, inżynierowie i nasi pomocnicy, mechanicy, rzuceni w ten głusz potężną wolą nauki, aby zbudować tu stację telegrafu bez drutu. Tak, w tych

naprawdę dziewiczych gęstwinach, nietkniętych jeszcze przed nami żadną ręką ludzką, żyliśmy już prawie rok, wyczerpani do zupełnej niemal utraty sił i co do jednego chorzy na febrę.

Druciana klatka, którą dopiero co opisałem, była naszym domem. Około pół kilometra dalej w głąb lasu znajdowała się nasza stacja telegrafu bez drutu, połączona z nami telefonem. Stację budowaliśmy tutaj na to, aby zaprowadzić połączenie z taką samą stacją w San Raimondo, osadzie, odległej od nas o przeszło 900 kilometrów.

Nastąpił wreszcie i ten dzień, kiedy nasza stacja była gotowa i kiedyśmy mogli zacząć naszą pierwszą próbę połączenia się. Boże!... Kiedyśmy przypominali sobie to, co było przed początkiem naszej wyprawy, wydawało nam się wówczas, że działo się gdzieś w odległej przeszłości, tak jakbyśmy patrzyli na te wydarzenia przez lornetkę z przeciwnej strony... Musieliśmy robić wysiłek umysłowy, aby uwierzyć, że działo się to wszystko zaledwie rok temu.

Tak, dzień ten nastąpił jeszcze w porę... Nasza wyprawa przez ten czas mocno się zmniejszyła: dwóch umarło, dwóch napółżywych wyprawiliśmy z powrotem do Anglii, a jęczący, niespokojnie miotający się w hamaku pod ścianą cień, był to Billy Wilmauth, dokładnie to, co z niego wskutek długotrwałej febry pozostało... Biedaczysko Billego, pracującego jak wół, choroba zwała z nóg akurat wtedy, kiedy robota nasza zaczęła się zbliżać do końca, ta robota, której niewolnikami poprostu byliśmy wszyscy...

I dlatego w uroczystym dniu otwarcia połączenia na stacji znajdowaliśmy się tylko ja z inżynierem Trenchem i dwóch naszych pomocników-mechaników. Wszyscy czterej wzajemnie ściskaliśmy sobie gorąco ręce, ciesząc się i ciągle jeszcze nie dowierzając, że ten dzień rzeczywiście nadszedł. Na pięć tygodni przedtem wyprawilem statkiem do San Raimondo list, zawiadamiający, żeby tam byli gotowi otrzymać od nas wiadomość właśnie dziś o godzinie wpół do trzeciej popołudniu, ponieważ miałem nadzieję, że do tego dnia wszystko będzie zupełnie gotowe.

I oto o godz. 2 minut 30 daliśmy sygnał...

Następnie mechanik nachylił się, przystawił słuchawki telefoniczne do uszu i nabożnie jał się przysłuchiwać, oddychając ciężko otwartymi ze wzruszenia ustami. My wszyscy pozostali staliśmy wołło, zatrzymując oddech w piersiach.

Trzeba panu wiedzieć, że pierwsze połączenie między dwiema stacjami zawsze jest zagadką. Po pierwsze, pan nie wie, czy dana stacja gotowa jest do przyjęcia od pana markonigramy. Tutaj, w takiej głuszy, nie byliśmy nawet pewni, czy tam wogóle ktoś jest przy życiu. Po drugie, nie wie pan, czy pan wziął należyty ton do wołania, ponieważ, jeśli jest on choć trochę niewłaściwy, albo jeżeli tam, dokąd pan telefonuje, coś się zmieniło — pan niczego nie dopnie, dopóki pan drogą długich doświadczeń nie odnajdzie właściwego tonu. W danym zaś wypadku, my oprócz tego po raz pierwszy próbowaliśmy komunikacji na tak wielką odległość, pierwszy raz od czasu dokonania wynalazku wogóle!

I oto dlaczego myśmy tak uważnie obserwowali mechanika, trzęsąc się ze wzruszenia i patrząc nań tak bacznie, jakbyśmy się bali, że on tu zaraz w naszych oczach zniknie bez śladu. Mechanik zaś nieruchomo okiem patrzył w przestrzeń, aż wreszcie na twarzy jego ukazał się szczęśliwie — zadowolony uśmiech i on z widocznym żalem odjął słuchawki od uszu i oddał je mnie. Schwyciłem za

nie z gorączkowym pośpiechem. Tak, zupełnie wyraźnie odpowiadają nam!

Teraz pan rozumie, dlaczegośmy się tak cieszyli, ściskali jeden drugiemu ręce i niemal skakaliśmy z radości jak dzieci?... —

— Niech pan zaczeka chwilę — przerwał Obrycki Highens. — Przedstawiam sobie wyraźnie wasze wzruszenie z tego powodu, iż nie wiecie, czy to, nad czem tak długo pracowaliście, jest dobre... No, ale niech pan sobie wyobrazi, że pan jest pewny, iż wszystko jest zupełnie dokładne — cóż by pan w takim razie odczuwał?

Obrycki zamyślił się.

— W każdym razie ma się tu dziwne uczucie... zaczął — Powinienem, zdaje się, przywyknąć do niego, a nie mogę... W kraju cywilizowanym, gdzie jesteśmy ciągle ze wszystkich stron otoczeni telefonami, telegrafami, tramwajami, pociągami, — to uczucie nie jest tak wyraźne. Ale wśród dziewiczego lasu sprawa przedstawia się inaczej. Tam ten telefon jest pierwszą oz aką życia innych ludzi, oddzielonych od nas niezmierzoną przestrzenią, których nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy przez rok cały. I ta pierwsza wiadomość o tem, że oni żyją, że są cali i zdrowi... Jakieś niewymowne uczucie wdzięczności napełnia pańskie serce przy pierwszej oznace, że pan oto znowu należy do świata żyjących...

— Rozumiem — odezwał się Highens, kiwnąwszy głową — proszę, niech pan ciągnie dalej.

II.

W godzinę później ja z Trenchem podchodziliśmy do naszej siedziby spojrzeć na biedaka, gorączkującego w ataku febry i napisać do domu listy o najważniejszej naszej nowości.

Trench, na nasze wielkie szczęście, znał się nieco na medycynie i tylko dzięki niemu mała nasza kolonia trzymała się jeszcze jako tako na nogach, z wyjątkiem jednego biednego Billego. Trench podszedł do chorego, a ja wyjąłem przybory piśmienne i przede wszystkim, nie wiadomo dlaczego, zaadresowałem kopertę:

„Do pana głównego dyrektora“

Przez cały rok nie pisałem ani razu z taką przyjemnością, jak dzisiaj. Trench, spojrzawszy na Billego, miotającego się w gorączce w hamaku, podszedł do mnie i zaczął czytać mi przez ramię:

„Mam zaszczyt dowieść, że pomiędzy naszą stacją, a stacją w San Raimondo połączenie jest zaprowadzone...“

Trench uszczypnął mnie z radości w rękę i wrócił do chorego. Kiedy skończyłem list i obróciłem się do niego, aby coś powiedzieć, spostrzegłem, że Trench stoi z zaniepokojoną twarzą przy hamaku Billego i przysłuchuje się jego bredzeniu.

— Gorzej? — zapytałem.

— Febra wciąż taka sama — odpowiedział — ale chory czemś się widocznie bardzo niepokoi... Niech się pan przysłucha!

Tak, teraz było widoczne, że chory jęczy nie tylko z bólu fizycznego... W jego rozpalonym gorączką mózgu widać coś się snuło, co przygniatało chorego silnie. Billy nie przestawał naprzemian z jękami powtarzać jednego tylko słowa: „Małgorzato! Małgorzato!“

— Kto to jest ta Małgorzata? — zapytał Trench szeptem, zupełnie niepotrzebnie, ponieważ mógłby i krzyczeć, a biedny Billy wszystko jedno nicby nie usłyszał.

— Naturalnie jego żona — odpowiedziałem w roztargnieniu. — I szkoda, że on jej tu nie wziął ze



Biomalz

jest najprzedniejszy, najsmakowitszy i przytem tani spożywczy i wzmacniający środek dla wszystkich, którzy wzmocnienia i orzeźwienia potrzebują. — W Niemczech najbardziej ulubiony i rozszerzony z wszystkich środków wzmacniających. Puszka K 1-30 i 2-50 do nabycia w aptekach i drogueryach.